

I

Lipiec tego roku był wyjątkowo upalny i ciągnął się niczym leniwe wody Amazonki albo ostatni miesiąc szkoły podstawowej, w którym właściwie nic już się nie dzieje. Jerry Jones siedział na plaży nad brzegiem oceanu pod dużym okrągłym parasolem przeciwsłonecznym; od ponad dwóch tygodni prześladował go syndrom „białej kartki”. Czyżbym się już wypisał, kompletnie stracił weneę? – pytał sam siebie, próbując napisać chociaż pierwsze zdanie. – Przecież za równy miesiąc przyjedzie tu ten lalusz, agent literacki, i zgodnie z podpisaną umową będzie chciał odebrać ode mnie tekst nowej książki, która jak wszystkie moje powieści ma się stać bestsellerem. Bijąc się z myślami, mocno podirytowany zamknął po raz kolejny tego dnia laptopa i boso udał się po rozgrzanym piasku do drewnianego domu, który przed laty wybudował wraz z panem Mitchemem i Elizabeth pośrodku wydmy. Wszedł do środka, wlał w siebie całą butelkę wody mineralnej z lodówki i usiadł w kuchni przy oknie, wpatrując się w niewielkie fale oceanu, leniwie uderzające o piaszczysty brzeg południowego wybrzeża Kalifornii.

Kryminał już nie wchodzi w grę – zastanawiał się. – O gangach narkotykowych napisałem już trzy. Afera w Białym Domu, sztuka o nieubezpieczonej dziewczynce ze slamsów Nowego Jorku umierającej na raka też już była. Co ja w to

upalne lato i to w trzydzieści dni mam wymyślić? Po co ja właściwie tę umowę podpisywałem? Mam przecież za co żyć, a z czasem pomysł przyszedłby sam i to na pewno lepszy, niż temat wymyślony w pośpiechu. Jednak miał rację John, który na początku mojej kariery mówił mi, że sukces w pisaniu jest gorszy od narkotyków. – Zawsze ci będzie mało i mało – powtarzał. Jeszcze ci idioci z wydawnictwa w telewizji puścili zwiastun nowej książki, choć jej przecież tak naprawdę jeszcze nie ma. A może tak pogadać z doktorem Bergiem, żeby wziął mnie do szpitala na obserwację, bo podejrzewa u mnie jakąś bardzo poważną chorobę, której opinii publicznej nie może ujawnić? Bądź co bądź, za datki na jego szpital jest mi przynajmniej winien mały rewanż, więc tym bardziej powinien się bez większego problemu zgodzić. Jak do jutrzejszego wieczoru nie zacznę pisać, to tak zrobię. – Jerry uśmiechnął się zadowolony ze swojego pomysłu i dalej wpatrywał się w bezkres oceanu.

Do najbliższego domu na wydmach, w którym mieszkali latem mocno starsi już państwo Mitchem, było ponad trzy kilometry, a tuż za jego domem po drugiej stronie wąskiej dróżki biegnącej przez wydmy znajdował się niewielki parking na cztery samochody, gdzie zawsze, kiedy przyjeżdżał tu pisać, zostawiał swój samochód. W domu za sprawą nowego urządzenia klimatyzacyjnego, niedawno zakupionego, panował przyjemny chłód. Wszystkie okna były zasłonięte ciemnognatowymi żaluzjami, aby lejący się z nieba żar nie wdzierał się do jego azylu ciszy i spokoju, pozwalającego mu tworzyć kolejne wybitne dzieła. Tylko kuchenne okno wychodzące na plażę przed domem było zupełnie odsłonięte i nie wisiła w nim nawet firanka. Jerry wyjął z lodówki kolejną wodę sodową i zasiadł za stołem tuż przy dużym kuchennym oknie.

Wpatrzony w parasol nagle zobaczył dwóch wysokich, barczy-
stych mężczyzn w ciemnych garniturach, fizjonomią i ubio-
rem raczej nie przypominających turystów. Pośrodku szła
popychana przez nich dobrze ubrana trzydziestoparoletnia
kobieta. Zatrzymali się tuż nad brzegiem oceanu. Wymie-
nili parę słów i mężczyzna stojący po prawej stronie kobiety
szybko wyjął pistolet i strzelił jej w pierś. Kobieta upadła,
a egzekutor dobił ją strzałem w głowę. Asystujący mu drugi
zabójca mimochodem rzucił okiem na dom Jerrego i w ku-
chennym oknie dostrzegł kontur jego postaci. Obaj mężczyźni
biegiem skierowali się w kierunku domu. Przez głowę Jerrego
przeleciało tysiące myśli, aż w końcu przypomniał sobie jedną
z pierwszych swoich książek. Podbiegł do kuchenki gazowej,
ostrym nożem odciął plastikowy przewód doprowadzający gaz
do palników, zamknął od wewnątrz drzwi na klucz i wyczołgał
się przez luk dla nieżyjącego już od dwóch lat psa. Pochylny
biegł przed siebie w kierunku rzadkich zarośli na wydmach.
Rzucił się w nie i zaczął z góry obserwować dalsze poczynania
mężczyzn, którzy przed chwilą z zimną krwią zabili bezbron-
ną kobietę. Usłyszał dwa bardzo mocne kopnięcia w drzwi
swojego domu, a zaraz po tym strzały z broni automatycznej.
Strzały na chwilę umilkły i po chwili ponownie rozległy się
ze zdwojoną siłą. Dom, który dwadzieścia lat temu stawał
ze swoją zmarłą w wypadku samochodowym żoną Elizabeth
jako jeszcze nikomu nieznanymi pisarz, nagle eksplodował jak
zdetonowana mina-pułapka. Drewno przy temperaturze wy-
buchu zaczęło się bardzo intensywnie palić i po pół godziny
z jego twórczego azyłu zostały tylko dymiące się zgłiszczka. Jer-
ry jeszcze przez dłuższą chwilę leżał przerażony w zaroślach
i nie widząc już mężczyzn, wolno zaczął czołgać się, niczym

wytrawny żołnierz, w stronę parkingu. Rozchylił delikatnie krzaki i obok swojego lincolna zobaczył dużego czarnego jepepa. W samochodzie nie było nikogo. Wstał i podbiegł, aby upewnić się czy aby wzrok go nie zawodzi – jeep był zamknięty i zupełnie pusty. Na chwilę spadł mu kamień z serca. Doskonale wiedział, że powinien jak najszybciej stąd uciekać, ale nie miał czym, gdyż kluczyki od jego samochodu zostały w domu, a na tym kompletnym odludziu jedno auto przejeżdżało raz na parę dni. Przez chwilę czuł się zupełnie zdezorientowany. – A może ona jeszcze żyje – zaczął się zastanawiać. Zawahał się przez parę sekund, aż w końcu puścił się krokiem średniej klasy biegacza długodystansowca w kierunku leżącej kobiety. Kiedy przebiegał obok swojego spalonego domu, zobaczył dwa zwęglone ciała. W jednej chwili zrobiło mu się niedobrze, ale siłą woli powstrzymał odruch wymiotny i biegł dalej w kierunku leżącej kobiety. Widok, jaki zastał na miejscu, był po stokroć bardziej wstrząsający niż wszystkie makabryczne opisy morderstw, którymi epatował swoich czytelników w niezliczonych książkach. Patrząc błędnym wzrokiem w pewnym momencie nie wytrzymał i wypróżnił całą zawartość żołądka do oceanu. Opadł z sił i usiadł na rozgrzanym piachu jakieś dwa metry od zabitej przez oprawców Mary, kobiety z którą od pewnego czasu się spotykał. Sytuacja zupełnie go przerosła. Nigdy wcześniej oprócz filmów i fleszów telewizyjnych nic podobnego nie widział. Bezradnie siedział na piachu, nie wiedząc, co dalej robić. Jeżeli zgłoszę się na policję, to oskarżą mnie o podwójne morderstwo pierwszego stopnia i dostanę karę śmierci – pomyślał, analizując swoje trudne położenie. – Jeżeli zaś zacznę uciekać, to i tak mnie znajdą, bo przecież moją twarz zna cała Ameryka. Kątem oka spojrzał na odłamany obcas buta

kobiety i wystający z niego jakiś srebrny przedmiot. Pomimo wrodzonego wstrętu do osób już zmarłych, ciekawość pisarza wzięła górę. Zerwał jej z nogi but i ukręcił obcas, w którym znajdował się mały schowek, a w nim sześciocentymetrowy srebrny kluczyk z wyrytym na boku numerem 333. Wspaniały pomysł na książkę, gdyby to nie działo się naprawdę – pomyślał. Schował kluczyk do kieszeni i plażą poszedł do państwa Mitchemów pożyczyć samochód. Pół godziny później wsiadł w starą półciężarówkę sąsiadów i jak oszalały zaczął gnać przed siebie. – Muszę dostać się do swojego mieszkania w Los Angeles, zanim w tym wszystkim połapie się policja. Wezmę z domowego sejfy karty bankowe, obligacje, wyciągnę wszystkie pieniądze i gdzieś na chwilę się ukryję.

Po trzech godzinach zajeżdżał na podjazd tuż przed swoim garażem. Wyskoczył z samochodu, szybko sforsował drzwi i otworzył sejf. W czarną dyplomatkę, w której zawsze trzymał każdą swoją nową książkę wydrukowaną na drukarce laserowej, włożył wszystkie potrzebne mu papiery wraz z paszportem. Rozejrzał się po domu i zamykając za sobą drzwi, ponownie wskoczył za kierownicę samochodu. Wyjechał na autostradę i skierował się w stronę Meksyku. Po drodze skręcił do śródmieścia, podjechał pod bank i szybkim krokiem wszedł do środka. Pobrał dwa miliony dolarów, a całą resztę pieniędzy przelał na swoje prywatne konto w Szwajcarii. Kiedy minął granicę Los Angeles, napięcie nerwowe trochę ustąpiło.

Muszę jak najszybciej przedostać się do Meksyku i tam poczekać na dalszy rozwój wypadków – pomyślał, pędząc za dużą czerwoną ciężarówką na meksykańskich numerach. Po paru godzinach znalazł się na granicy amerykańsko-meksykańskiej. Podjechał do celników i udając zadowolonego, uśmiechnięte-

go turystę, podał paszport. Celnik wziął do ręki dokument, przeczytał nazwisko, spojrział na właściciela i krzyknął do swoich kolegów:

– Chłopaki to Jerry Jones, ten pisarz.

Natychmiast zlecieli się celnicy, prosząc go o autograf dla swoich żon. Jerry, udając pełen luz, rozdał autografy do osobistych notesów celników.

– Panie Jones, ale jedzie pan tam, gdzie nie jest zbyt bezpiecznie – powiedział z troską w głosie jeden z nich.

– Taki mój zawód – odparł pewnym głosem i dodał – a myśli pan, że ja te wszystkie książki piszę za biurkiem?

– Nie zwracaj panu Jonesowi głowy, tylko podnoś szlaban – zakomenderował najstarszy stopniem celnik.

Kiedy minął białą linię wyznaczającą granicę Stanów Zjednoczonych i Meksyku, oparł się mocno w fotelu i prawie opadł z sił. Teraz jechał już dużo wolniej. Po mniej więcej pięćdziesięciu kilometrach zauważył, iż na kontrolce poziomu paliwa kończy mu się właśnie benzyna. Przejechał jeszcze parę kilometrów i z daleka zobaczył motel wraz ze stacją benzynową. Podjechał pod nią, zaparkował samochód i wszedł do środka.

Już na pierwszy rzut oka lokal bardzo odstawał od Hiltona – niewielka knajpa na dole, a na górze pokoje gościnne. W lokalu panował półmrok wymieszany z dymem cygar i papierosów. Przy ośmiu stolikach siedzieli mężczyźni niewyglądający na wielbicieli teatru, opery czy też literatury. Jerry rzucił okiem po sali, podszedł do barmana i po hiszpańsku zapytał, czy może zatankować benzynę. Ten spojrział na niego i nic nie odpowiedział. Zerknął tylko kątem oka na niskiego Meksykana w kapeluszu i leżącą na barze obok niego strzelbę.

– Zatankować? – powtórzył za Jerryem niski Meksykanin.

– Tak – odparł Jones i zaniepokojony leżącą na blacie bronią dodał – dobrze zapłacę.

– Słyszeliście chłopaki, ten białas mówi, że dobrze zapłaci.

Wszyscy koledzy Meksykanina wybuchnęli złowrogim jak w przedśionku śmiechem, a z tyłu sali usłyszał:

– Po co masz się fatygować, my sami ci wszystko zabierzemy.

Ponownie rozległ się śmiech. Jerry spojrzał na barmana, który nagle zaczął nerwowo przecierać blat kontuaru, i wszystko nagle zrozumiał. Obrócił się, zrobił dwa kroki ku wyjściu, ale zza pleców usłyszał dźwięk przeładowywanych strzelb. Mentalnie stanął, pomimo upalnego lipca oblał go zimny pot; nie wiedział, co zrobić. Przez chwilę czekał chyba na strzał, ale kiedy ponownie wybuchł śmiech, obrócił się i bacznie obserwując niskiego Meksykanina, wolno do niego podszedł. Stanął tuż przed nim i patrząc mu prosto w oczy, powiedział:

– To nie musi się dla mnie aż tak źle skończyć. Przecież możemy się jakoś dogadać.

Meksykanin postawił na ladę kufel piwa, którego za darmo nalał mu przerażony barman, i bardzo spokojnie powiedział:

– Dobrze kombinujesz białasie, tylko musiałbyś mieć dla mnie jakąś interesującą ofertę. – Wyjął z kieszeni meksykańskiego papierosa, zapalił i dym wypuścił Jerremu prosto w twarz.

Przerażony Jones, widząc że trafił do samego piekła, szarżował pewnym głosem:

– Mam coś, co na pewno cię zainteresuje.

Ponownie wybuchł śmiech na sali, a kiedy wszyscy już zamilkli, Meksykanin spokojnie odpowiedział:

– Masz tylko jedną dla mnie wartościową rzecz – i ponownie zaciągając się papierosem, wypuścił mu dym w twarz.

– Jaka? – zapytał zdenerwowany Jerry.

– Twoje życie – oznajmił bardzo poważnie Meksykanin.

– Przepraszam, ale cię nie rozumiem.

Meksykanin spojrział na swojego olbrzymiego kolegę, którego uroda nie przypominała żadnego z czołowych aktorów hollywoodzkich, i spokojnie powiedział:

– Zmień już barmana.

Ten wyjął zza pasa rewolwer i strzelił barmanowi prosto pomiędzy oczy. Schował pistolet za spodnie, wszedł za kontuar, przerzucił barmana przez ramię i tylnymi drzwiami wyrzucił go do stojącego obok motelu śmietnika. Wrócił, otrzepał ręce i z zadowoleniem krzyknął na cały lokal:

– Panowie, bar został właśnie otwarty.

Jerry bardzo chciał, aby go ktoś uszczypnął i obudził z tego traumatycznego snu. Stał sparaliżowany blisko lady przy niskim ogorzałym od słońca Meksykaninie i czekał z duszą na ramieniu na swoją kolej.

– Widzisz to wiadro z wodą?

– Taak – wydukał z przerażenia Jones.

– A tę szmatę na ladzie?

– Taak – raz jeszcze powtórzył Jones.

– A widzisz, że ściana się pobrudziła?

Jerry tylko kiwnął głową i spojrział na ociekającą krew z fragmentami mózgu barmana.

– Więc na co czekasz? – rzucił niski Meksykanin, kierując wylot lufy wprost w twarz Jerrego.

Jones wziął wiadro z wodą, w drugą rękę szmatę, przeszedł za kontuar i zaczął ścierać ociekający mózg nieszczęśnika

ze ściany. Kiedy skończył, zwymiotował do wiadra i stanął tuż przed Meksykaninem.

– No to co mi masz takiego do zaoferowania? – nadal bardzo spokojnie pytał Meksykanin.

Jerry na chwilę zebrał się w sobie i błagalnym tonem powiedział:

– Dwa miliony dolarów w gotówce i obligacje państwowe na około milion.

– A co za to chcesz? – dopytał wciąż bardzo spokojny Meksykanin.

Jerry wyprostował się.

– Chcę żyć, bak benzyny i spokojnie stąd odjechać.

Meksykanin uśmiechnął się złowrogo, poprawił kapelusz i rzucił:

– Te drobne dwa miliony i obligacje i tak są już moje, a ty, żeby przeżyć, musisz dziś w nocy przejechać ciężarówką przez granicę do Kalifornii. Rozumiesz białasie?

– Ale ja nie potrafię jeździć ciężarówką.

– Barman też nie potrafił, my jako dobrzy ludzie chcieliśmy go nauczyć, ale on się wahał i sam widziałeś jak skończył. Popęłnił błąd – powiedział, patrząc Jerremu prosto w oczy.

– Mówisz o tej srebrnej cysternie, która stoi obok motelu?

Meksykanin potwierdzająco skinął głową.

– A co w niej jest? – zapytał postawiony pod murem pisarz.

– Mleko – odparł z drwiącym uśmiechem na twarzy.

– Mleko? – ironicznie powtórzył za nim Jerry.

– Dokładnie, białe, wysokiej jakości sproszkowane mleko. Bo widzisz białasie, tuż za granicą jest szkoła, o której twój rząd zupełnie zapomniał, a my jako miłośnicy Samarytanie dożywiamy tam biedne, głodne dzieci.

Ponownie w lokalu rozległ się złowrogi śmiech. Meksykanin raz jeszcze spojrzął na Jonesa i czekał na odpowiedź.

– Rozumiem, że nie mam wyjścia – zaczął z rezygnacją w głosie Jerry. – Tylko że po tamtej stronie granicy jestem prawdopodobnie już poszukiwany za podwójne zabójstwo.

– Za podwójne! – zaśmiał się ironicznie Meksykanin. – To ty wśród nas jesteś prawdziwy święty, prawda chłopaki?

Ponownie parsknęli śmiechem.

– To już nic z tego nie rozumiem. Oczywiście pojedę, ale proszę chociaż trochę mnie oświeć.

Meksykanin podniósł do góry palec.

– Pamiętaj, powiedziałaś, że jedziesz, a po tej stronie granicy oznacza to tylko jedno – albo jedziesz, albo zmieniamy kierowcę tak jak przed chwilą barmana.

Jerry pokiwał głową, iż wszystko jest dla niego jasne, i czekał na dalszy rozwój wypadków. Drzwi od lokalu otworzyły się i wszedł wysoki Latynos w mundurze policjanta. Jerry na chwilę odetchnął, myśląc, iż szeryf wyciągnie go z tej opresji.

– Witaj Pedro – uradował się widokiem niskiego Meksykanina szeryf.

– No witam szeryfie.

– Co to za białas? – zapytał przedstawiciel tutejszej władzy.

– To nasz nowy kierowca – przedstawił Jerrego Pedro.

– A co z Diego? – zapytał zaciekawiony szeryf.

– Przeniósł się na tamten świat – swobodnie powiedział Pedro.

– Zapewne wypadek samochodowy? – ironicznie niby domyślał się szeryf.

– Nie, Rodriguez przed chwilą odstrzelił mu łeb, bo ostatnio w swoim życiu miał za dużo wątpliwości.

Szeryf spojrział na Meksykanina i z przekonaniem stwierdził:

– Z tobą Pedro robić interesy to prawdziwa przyjemność, bo przynajmniej masz nosa do doboru właściwych ludzi.

Mężczyźni uścisnęli sobie dłonie, a szeryf, wychodząc, rzucił do Pedra:

– No to zobaczymy się o drugiej w nocy tam gdzie zawsze.

Meksykanin tylko poprawił swój bardzo sfatygowany kapelusz.

– Jest tylko mały problem – odważył się w końcu odezwać Jerry.

Rodriguez roześmiał się na całą salę głosem psychopatycznego mordercy.

– Jak masz problem, to bardzo dobrze trafiłeś. My tu jesteśmy specjalistami od ich rozwiązywania – i ponownie zarżał jak koń.

Pedro, zaciekawiony tym, co usłyszał, skarcił kumpla:

– Zamknij mordę, Rodriguez, a ty, jankesie, mów, o co chodzi.

Jones nabrał powietrza w płuca i niepewnym głosem wydukał:

– Po tamtej stronie granicy już pewnie wysłali za mną listy gończe. Jeżeli wjadę tylko pod szlaban, to mnie zaraz aresztują, a waszą ciężarówkę zarekwirują. Ja do końca życia będę siedział w pace, a wy stracie swój cenny towar. W Stanach jestem bardzo znanym pisarzem i każdy policjant mnie rozpozna. Wiem, że jak nie pojedę, to zginę, ale kiedy pojedę, wy stracie całą cysternę.

– Czyli chcesz mi powiedzieć, że mamy pata? – zapytał dziwnie zadowolony Pedro.

– Na to wygląda – odparł z niewyraźną miną Jones.

Meksykanin poklepał Jerrego otwartą ręką po twarzy i oznajmił:

– Jestem człowiekiem, który poradzi sobie z każdym, jak to nazwałeś, patem. Jak widzisz białasie, lepiej trafić nie mogłeś. – W jego głosie Jerry usłyszał zdecydowanie, ale też determinację. Robił wrażenie człowieka, który nieprzypadkowo kieruje tą bandą rzezimieszków, człowieka, którego spojrzenie paraliżuje rozmówców.

– Lubię ludzi mówiących prawdę, bo przynajmniej dłużej żyją, a i nam ołowiu zawsze trochę więcej zostaje. Idź teraz z Rodriguezem na górę do pokoju i dobrze się wyśpij, bo w nocy czeka cię nie lada roboty. Zrozumiałeś?

Oczy Pedra mówiły, iż dalsza rozmowa pozbawiona była wszelkiego sensu, a sprawa nie podlegała absolutnie żadnym negocjacjom. Jerry przytaknął głową i udał się za oblesnym, muskularnym typem, który strzela do ludzi jak myśliwy na polowaniu do kaczek. Dla Jerrego podążanie za tym śmierdzielcem o imieniu Rodriguez do przyjemności nie należało, gdyż unoszący się od niego odór i sam jego obrzydliwy wygląd odstraszyłyby nawet stado świń.

IV

Jerry Jones leżał na starym, wygniecionym łożu, na którym draby Pedra obracały miejscowe prostytutki i czekał jak skazaniec na wyrok śmierci, nie mogąc w żaden logiczny sposób wyrwać się z tej beznadziejnej sytuacji. Za często otwieranymi kopniakiem drzwiami słyszał głośnie chrapanie Rodrigueza. Pod oknem w dwóch steranych bezdrożach terenówkach siedziało dziesięciu uzbrojonych po zęby „kolesi” Pedra. Co chwilę wybuchali złowrogim śmiechem, smacznie popijając puszkowe piwo i co jakiś czas wciągając do nosa biały proszek. Zachodzące na horyzoncie słońce coraz bardziej przypominało Jerremu, że czas jego prawdopodobnego końca nieubłagalnie nadchodzi. Dotychczasowe jego życie tak różniło się od pułapki, w jakiej obecnie się znalazł, jak koszmarny sen od wakacji spędzonych ze swoją żoną Elizabeth w Wenecji. Wolny, powszechnie szanowany i podziwiany człowiek przez sumę niezrozumiałych dla niego splotów wydarzeń stał się zakładnikiem ohydnych bandziorów, jakich wcześniej widział jedynie w kinie na dobrych gangsterskich filmach. Tylko że tamto było fikcją scenarzysty, a to dzieje się niestety naprawdę – pomyślał gorzko, nie widząc żadnego sposobu wybrnięcia z tej klaustrofobicznej sytuacji.

– Zabieraj, chamie, te śmierdzące buty – usłyszał za drzwiami zdecydowany, ale nieodrażający głos kobiety.

Klucz w zamku zgrzytnął i do pokoju weszła latynoska kobieta, piękna niczym Afrodyta wyłaniająca się z błękitnych wód oceanu. Ubrana w drogą bordową suknię do połowy łydek z niewielkim dekoltem pod szyją. Z rozpuszczonymi kruczoczarnymi włosami, grubymi brwiami koloru włosów i lekko śniadą cerą wyglądała, jakby właśnie po raz pierwszy wyszła z solarium. Urody mogłyby jej pozazdrościć największe gwiazdy filmowe popularnego kina światowego. A przy jej figurze, choć przy wzroście metr siedemdziesiąt, krępowałyby się wyjść na wybieg najlepsze modelki naszego globu. W rękach trzymała dużą przykrytą srebrną tacę. Bardzo seksownym lekkim ruchem prawej nogi zatrzasnęła za sobą drzwi. Jonesowi na jej widok zupełnie odebrało mowę. Zerwał się z łóżka i stanął jak uczeń przed profesorem olśniony jej urodą, jakby zobaczył tuż nad głową przelatujący spodek UFO. Był zdezorientowany, bo kobieta pasowała do tej speluny jak słoń do składu porcelany.

– Witaj, Jerry – odezwała się tak słodko, jakby od lat byli przynajmniej dobrymi przyjaciółmi. Na małym stojącym pośrodku pokoju stoliku postawiła tacę z jedzeniem.

Jerry tylko kiwnął głową na znak przywitania, nadal z wrażenia nic nie mówiąc.

– Przyniosłam ci podwieczorek – powiedziała, wskazując ręką na stół, i usiadła obok na starym sfatygowanym krześle.

– Ty mnie znasz? – zdobył się na odwagę Jones.

Kobieta uśmiechnęła się, wyraźnie go kokietując, i powtórzyła za nim:

– Czy cię znam? Przecież jesteś jednym z moich ulubionych pisarzy.

– Wybacz, ale nic z tego nie rozumiem – nie krył zdziwienia Jerry.

– W ogóle ci się nie dziwię – oznajmiła smutno i po chwili dodała – wiem, jak to wygląda, jak perła wśród wieprzy, tylko że ja z nimi nie mam nic wspólnego.

Jones pokiwał kpiąco głową.

– To co ta „perła” tu robi?

Kobieta wyciągnęła swą delikatną dłoń do Jerrego.

– Wybacz, nie przedstawiłam się. Mam na imię Gloria i, niestety, jestem córką chrzestną Pedra.

Jones przecesał ręką włosy, pogardliwie się uśmiechnął i już bez wielkiej kurtuazji powiedział:

– To wujcio przysłał cię na przeszpiegi, czy czegoś nie kombinuję? Czy tak?

– Wiem, że to wygląda dziwnie, ale albo mi uwierzysz, albo zginiesz, a ja za miesiąc będę musiała wyjść za mąż za jednego z tych wieprzy Pedra.

Zza drzwi nagle dobiegł ironiczny głos Rodrigueza:

– Gloria, ty mu miałaś dać obiad, a nie to, co masz najlepszego. – Zaczął się głośno śmiać swoim chrypliwym głosem.

Kobieta wstała z krzesła, podeszła do okna, otworzyła je i kategorycznym głosem nakazała jednemu z typów siedzących w terenówkach, aby poprosił na górę do pokoju jej wuja. Ten zerwał się z miejsca i biegiem poleciał na dół do lokalu, gdzie w swym zakurzonej mocno sfatygowanym kapeluszu wolno delektował się piwem jej wuj.

Po chwili drzwi w mało elegancki sposób otworzyły się i ze strzelbą w prawej ręce wszedł niewielki człowiek z twarzą ogorzałą od słońca, który w swoich rękach trzymał prawie cały przemyt kokainy z Ameryki Południowej do USA i Kanady.

– Pedro zrób coś, bo ten wieprz znowu mnie zaczepia – poskarżyła się kobieta, udając zbulwersowaną.

– Rodriguez – spokojnie powiedział Pedro i obrócił się w kierunku oprycha ze strzelbą wycelowaną w jego głowę. – Dzisiaj to jeszcze przeżyjesz, bo masz z tym białasem za chwilę jechać, ale jeżeli jeszcze raz powiesz mojej chrześnicy chociażby dzień dobry, to własnoręcznie obetnę ci jaja. Dotarło? – zapytał bardzo spokojnie, patrząc mu prosto w oczy.

Rodriguez, milcząc, zszedł na dół do lokalu.

– Chodź, Gloria – rzekł Pedro i gdy zwrócił się ku wyjściu, usłyszał:

– Dziękuję.

– Nie ma za co, przecież jesteś dla mnie jak córka.

– A mogę wuju trochę porozmawiać z panem Jonesem – poprosiła.

Pedro uśmiechnął się pod nosem.

– Możesz, ale niech to będzie tylko rozmowa.

– A ty białasie miej się lepiej na baczości – zakończył rozmowę i trzasnął za sobą drzwiami.

– Teraz mnie uważnie słuchaj – oznajmiła podekscytowana kobieta. – Jesteś mądrym człowiekiem i widzisz, że jesteśmy w piekle. Mamy dzisiaj jedyną niepowtarzalną szansę stąd uciec. Wiem, że mi nie wierzysz, ale jak tylko tuż za granicą rozładują kokainę, zastrzelą cię, a ja do końca życia będę musiała tu już żyć.

Jerry podrapał się po głowie i smutno powiedział:

– Ja już nie żyję. W Stanach szukają mnie za podwójne morderstwo, a tutaj i tak czeka mnie kula w łeb.

– Nieprawda – zaprzeczyła stanowczo. – W Stanach jesteś osobą, która w obronie własnej zabiła dwóch groźnych ban-

dziorów, od lat szukanych listem gończym za wielokrotne morderstwa, którzy na twoich oczach zabili na plaży niewinną kobietę.

– A skąd ty to wiesz? – zapytał zdziwiony Jones.

– Z telewizji. Mam tutaj satelitę i wszystkie stacje w USA o tym trąbią. Trzeba się tylko przedostać na drugą stronę.

– Ale jak?

– Słuchaj, dzisiaj wszyscy strażnicy na granicy z jednej i drugiej strony są na usługach Pedra. Zaufaj mi, wsiądź w tę ciężarówkę z Rodriguezem i o nic się nie martw.

– A może ty mnie, Gloria, nabierasz?

– A po co miałabym to robić, czy tu, czy na granicy i tak zginięsz. Ja też się chcę stąd wyrwać. Jesteś moją jedyną szansą, aby się z tego piekła wydostać. Błagam, nie pytaj o nic więcej i zaufaj mi.

Wstała, spojrzała na niego jak na święty obraz, który w cudowny sposób ma uratować jej podłe dotychczasowe życie, i wyszła. Przez chwilę słyszał jej równy tupot butów na scho-dach.

Jerry zaczął nerwowo rozglądać się po pokoju, szukając czegoś ostrego, aby po drodze mógł unieszkodliwić Rodrigueza i zbiec. Podniósł nawet metalowe przykrycie i plastikowym widelcem szukał w jedzeniu, czy aby tam Gloria mu czegoś nie podrzuciła. Zupełnie nie wiedział, co ma o jej słowach myśleć. A może z każdym tak robią – pomyślał. – Przychodzi piękna kobieta, aby uśpić czujność potencjalnej ofiary, a później i tak zdarzenia potoczą się swoim torem. Dziwne. Chrześnica narkotykowego przemytnika chce stąd uciec. Ale po co? Przecież przy swoim wuju ma, co chce, a żaden z tych neandertalczyków nawet nie może się do niej zbliżyć. W Stanach czeka ją może

nawet dożywocie. A więc po co chce tam jechać? Rozważania Jonesa brutalnie zostały przerwane potężnym kopniakiem otwierającym drzwi Rodriguezowi.

– No zbieraj te swoje plugawe jankeskie zwłoki i jedziemy – zacharczał swoim „subtelnym” głosem śmierzdzący, obrzydliwy olbrzym.

Jerrego słowo „zwłoki” zupełnie sparaliżowało. Pobladł, jego ciało zeszywniało i stanął w bezruchu pośrodku pokoju jak wypchany trocinami eksponat muzealny. Rodriguez w swojej pustej głowie, wypełnionej jedynie piwem i kokainą, zupełnie nie rozumiał, dlaczego Jerry jeszcze stoi, więc chwycił go ręką za włosy, wywlókł na korytarz i zepchnął po starych, drewnianych schodach na parter. Jones zebrał się szybko z podłogi i wybiegł przed motel. Tam czekała już na niego cała świta na czele z Pedrem.

Wzburzony pisarz bez ogródek zwrócił się ostro do ich szefa:

– Jak ten bydlak będzie mną tak dalej rzucał i cały czas mi groził, to prędzej rozbiję się tą ciężarówką niż gdziekolwiek dojadę.

– Co się stało? – zapytał spokojnie Pedro.

– Wywlókł mnie za włosy z pokoju i rzucił po schodach, a wcześniej groził mi śmiercią. Przecież prowadząc w takim stanie samochód po bezdrożach z tym kretynem, prędzej to auto rozwałę, aniżeli gdziekolwiek dojadę – odparł mocno zdenerwowany Jerry.

Z drzwi motelu ze strzelbą w ręku wyszedł wolno uśmiechnięty Rodriguez i tryumfalnie oznajmił:

– No szefie, kierowca jest już gotowy do drogi. Pedro skinął na niego głową.

– Zadam ci pytanie: Jedziesz z nim jako pilot i obstawa. Jeżeli ta ciężarówka za dwie godziny nie będzie na miejscu, bo na przykład wpadnie do rowu, to jak myślisz komu spadnie głowa?

– No jemu, bo to przecież on prowadzi – zaśmiał się dumny ze swej bystrości olbrzym.

Pedro przecząco pokręcił głową. Przez chwilę zapanowało złowrogie milczenie.

– Mnie? – zapytał mocno zdziwiony Rodriguez.

– Słuchaj idioto. Strzelbę położysz na podłodze pomiędzy nogami. Do białasa będziesz mówił tylko, gdzie ma jechać i skręcać i ani jednego słowa więcej. Za sześć godzin widzę tu samochód, ciebie i jankesa całego i zdrowego. Czy to dla ciebie jasne? – zapytał Pedro i, nie czekając na odpowiedź, dodał – bo jeżeli nie, to zmienię pilota.

Rodriguez jak nakręcana zabawka tylko kiwał głową, gdyż po słowach Pedra odjęło mu zupełnie mowę.

– Pytam raz jeszcze, czy to jasne?

Rodriguez, przerażony możliwością niechybnej śmierci z ręki swego chlebodawcy, w końcu wycedził:

– Tak, szefie.

Pedro raz jeszcze wejrzał mu głęboko w oczy i jak zwykle spokojnie oznajmił:

– No to w drogę.

Poklepał Jonesa po ramieniu i ruszył w stronę drzwi motelu. Rodriguez pierwszy raz w życiu bardzo grzecznie powiedział:

– Bardzo proszę, niech pan siada za kierownicę, a ja pana spokojnie do celu poprowadzę.

Pedro obrócił się, uśmiechnął ironicznie i z satysfakcją powiedział:

– Widzisz, tępy łbie, jak chcesz, to i ty możesz mówić normalnie jak człowiek. Pokiwał z aprobatą głową i wszedł do środka budynku.

Jerry spojrzął na ogromną srebrną cysternę wypełnioną po brzegi kokainą i przerażony wolno ruszył ku kabinie kierowcy. Zasiadł za kierownicą samochodu, wziął głęboki oddech i zaczął rozglądać się po wnętrzu szoferki. Przyjrzał się wszystkim kontrolkom i po swojej prawej stronie zobaczył dwa duże, okrągłe guziki. Zielony z napisem „START” i czerwony z napisem „STOP”.

– A to co takiego? – zapytał zdziwiony Jones.

– O tych guzikach zapomnij, kieruj samochodem i nie zwracaj na nie uwagi, po prostu jakby ich tu nie było, rozumiesz, białasie? – na nowo zaczął swoją starą śpiewkę Rodriguez.

Jerry wyjął kluczyki ze stacyjki i wyrzucił je przez otwarte okno, śmiejąc się bezczelnie olbrzymowi w twarz.

– Ciekawe czy Pedro zainteresuje się, dlaczego jeszcze nie odjeżdżamy. Jak myślisz, świniopasie?

Rodriguez zacisnął zęby, jednak mając w pamięci słowa swojego szefa, powiedział:

– Zielony guzik jest od opróżniania cysterny pod ciśnieniem, a czerwony zatrzymuje wyładowywanie. Coś jeszcze? – spytał, bojąc się, iż Pedro naprawdę za chwilę zainteresuje się ich postojem.

– Nie – odparł spokojnie Jerry i dorzucił – no to aportuj te kluczyki, śmierdzielu, i otwórz okno z twojej strony, bo strasznie oborą zalatuje.

Rodriguez zrobił się czerwony jak rosyjska flaga, ale posłusznie wykonał polecenie Jonesa. Za Jerrym wisiała ciem-

nobordowa kotara, zasłaniająca prowizoryczne łóżko, na którym spali kierowcy jadący w daleką trasę. Olbrzym wskoczył do auta, podał Jonesowi kluczyki, a ten włożył je do stacyjki, poczekał chwilę, aż zgasną wszystkie kontrolki, i wolno ruszył przed siebie. Ubita piaszczysta droga wysypana drobnymi kamieniami, którą jechali, nie pozwalała rozwinąć dużej prędkości, więc Jerry w głowie wyobrażał sobie, co takiego stanie się, kiedy dojadą już na miejsce. Czy Pedro mówił prawdę, że wróćę cały i zdrowy, czy też Gloria, niestety, miała rację? Ale cóż taka jedna drobna kobieta może pośród takich bezwzględnych typów?

Tak medytując, zobaczył duży znak informacyjny: „Granica 25 kilometrów”. Z każdym przejechanym kilometrem zaczynał bać się coraz bardziej. Przed oczyma stanęli mu jego już dawno zmarli rodzice i jego dzielnica w Chicago, w której się wychował. Nagle kotara z tyłu wisząca na żabkach od firanek gwałtownie odsłoniła się po stronie olbrzyma i usłyszał dobrze znany już głos:

– Jones zwolnij.

Gloria trzymając pistolet przytknięty do głowy Rodrigueza, krzyknęła:

– Wyskakujesz, albo twój mózg będę musiała zbierać z przedniej szyby.

Olbrzym otworzył w popłochu drzwi i wypadł z auta. Gloria w czapce bejsbolówce i w ubraniu pracownika stacji benzynowej motelu, do którego trafił Jerry, przeskoczyła na przednie siedzenie.

– Witaj, Jerry. Zdziwiony? Mówiłam ci przecież, abys mi zaufał.

Pisarza dosłownie zatkalo. A kiedy doszedł już do siebie, zapytał:

– I co teraz dalej?

Gloria nieśmiało uśmiechnęła się i stanowczo powiedziała:

– Musisz mi dać słowo, że od teraz bez żadnego sprzeciwu będziesz wypełniał moje polecenia.

Jerry przytaknął głową, patrząc na coraz gorszą drogę, po której jechali.

– I pamiętaj, jeżeli nie zrobisz tak, jak ci powiem, obydwójce zginiemy. Rozumiesz? – zapytała raz jeszcze, aby upewnić się, iż są po tej samej stronie.

– Rozumiem – odparł zupełnie zdezorientowany Jones, ale po tym, co przed chwilą zobaczył, poczuł, iż ona dokładnie wie, co robi i miała zaplanowane to od dawna.

– Popatrz, radiowóz! – krzyknął po chwili milczenia Jerry.

Gloria bez emocji oznajmiła:

– To szeryf, ten sługus Pedra.

– Więc co mam robić? – zapytał roztrzęsiony Jones.

– Nic, jechać dalej.

– A jak każe mi się zatrzymać?

Gloria spojrzała wymownie na Jerrego.

– Przed chwilą dałeś mi słowo, czy masz go zamiar dotrzymać?

– Tak – odparł już zupełnie ogłupiały.

– To rób od teraz to, co mówię, i więcej już o nic nie pytaj.

Szeryf stał z przodu przy masce samochodu i kiedy zobaczył Glorię, krzyknął: – A gdzie Rodriguez?

Kobieta pokazała mu środkowy palec i ponownie spojrzała na Jonesa. Z daleka Jerry zobaczył niski parterowy budynek wielkości niewielkiego sklepu i zamknięty szlaban. Po stronie

meksykańskiej stały dwa radiowozy, a po amerykańskiej trzy. Jonesa dosłownie sparaliżowało, jednak teraz nie miał już wyjścia i musiał się zdać na plan Glorii.

– Zwolnisz tuż przed szlabanem, a kiedy będziesz od niego jakieś dziesięć metrów, przyspieszysz i po prostu go staranujesz.

– W porządku – oznajmił Jerry, o nic już nie pytając.

Zbliżył się do szlabanu na umówioną odległość, a Gloria krzyknęła:

– Teraz.

Jones zmienił bieg i mocno wcisnął pedał gazu. Po paru metrach szlaban chrupnął tylko, jak przełamywana zapalka, i znaleźli się już po stronie amerykańskiej.

– Teraz ostro gazu – rzuciła władcym głosem kobieta.

– Ale oni zaraz będą do nas strzelać.

Gloria z udawaną swobodą i powiedziała:

– Z tej i z tamtej strony są skorumpowani od lat ludzie Pedra, a my wieziemy tyle kokainy, że wystarczy na parę miesięcy dla całego Los Angeles.

Jerry spojrział we wsteczne lusterko i zobaczył, jak pięć radiowozów na sygnałach świetlnych rusza za nimi.

– No bliżej chłopcy – powiedziała do siebie Gloria.

Kiedy policjanci dogonili ich na odległość trzydziestu metrów, kobieta nacisnęła zielony guzik z napisem „START” i przez dłuższą chwilę trzymała. Za cysterną we wstecznych lusterkach widać było tylko biały tuman pyłu wydobywającej się z ich ciężarówki kokainy, która ulatywała przez okrągły otwór specjalnie przygotowany tak jak w beczkowiezie wywożącym z szamb fekalia na pole. Położyła palec na czerwonym przycisku z napisem „STOP” i z satysfakcją stwierdziła:

– Za dziesięć kilometrów masz skręt na autostradę do Los Angeles.

– A co z tymi, co nas gonią? – zapytał zdziwiony pisarz.

– Głowę daję, że po takiej dawce kokainy to oni przynajmniej do jutra nie dojdą do siebie.

Gloria wyjęła z kieszonki roboczego ubrania telefon komórkowy i wystukała jakiś numer. Po chwili uzyskała połączenie.

– Witaj Johny, z tej strony Gloria Juarez. Za chwilę będę na autostradzie. Jadę w kierunku Los Angeles srebrną cysterną mackiem na meksykańskich numerach. Tylko nie spóźnij się, bo nas te przekupione „psy” rozwalą, zanim coś zdążymy powiedzieć. Bywaj.

Jones wjechał na autostradę, „przykleił” się do jadącej przed nim dość szybko ciężarówki przewożącej konie i o nic już nie pytał. Gładka nawierzchnia autostrady pozwalała mu jechać bezproblemowo. Dwa pasy w jedną i dwa w drugą stronę oraz niezbyt wielki ruch na każdym przejechanym kilometrze podpowiadały mu, iż szczęśliwie dotrą do obranego przez Glorię celu. Kobieta zdjęła z głowy bejsbolówkę, dłońmi zaczesła swoje czarne, gęste włosy i wygodnie rozsiadła się w fotelu samochodu. W miarę spokojną jazdę zakłóciły syreny policyjnych samochodów. Gloria spokojnie spojrzała w lusterko.

– Jak zbliżą się do nas na 50 metrów, wjedź na lewy pas, zrównaj się z ciężarówką i jedź tą samą prędkością co ona, aby nie przepuścić radiowozów.

– Ale my jesteśmy w Stanach i tutaj musimy się na ich polecenie zatrzymać, bo inaczej będą do nas strzelać.

Gloria kątem oka spojrzała na Jerrego.

– Dałeś mi słowo honoru, że będziesz robił to, co ci każe.

– Tak, ale to już Ameryka.

– Myślałam, że jesteś mądrzejszy. Blokuj ich cały czas, a wkrótce się przekonasz, że miałam rację.

Jones nic z tego nie rozumiał, ale nadal jechał obok ciężarówki tak, aby policja nie mogła ich wyprzedzić. Nagle ciężarówka zaczęła hamować.

– Dodaj gazu i jedź teraz środkiem drogi – zakomenderowała kobieta.

Jones zaczął jechać środkiem drogi, kręcąc wężykiem raz w lewo raz w prawo.

– O cholera – powiedziała głośno Gloria.

Jakieś 500 metrów przed nimi na obydwóch pasach ruchu czekała na nich blokada policyjna z rozciągniętymi na jezdniami kolczatkami. Jerry zmniejszył szybkość i zaczął gwałtownie hamować, aż w końcu stanął.

– Wykonuj dokładnie ich polecenia, jeżeli chcesz żyć. Przeczytaj ci twoje prawa, więc z nich skorzystaj i milcz – prawie krzyknęła na przerażonego Jonesa, aby postawić go psychicznie na nogi.

Jerry, jakby zupełnie nieobecny, nie odpowiedział. Do ciężarówki podbiegła gromada policjantów trzymających w rękach pistolety wymierzone wprost w Jerrego. Przez otwarte okno Gloria usłyszała odgłos dwóch nisko nadlatujących helikopterów. Na jej twarzy pojawił dziwny uśmiech zadowolenia. Policjanci otworzyli drzwi ciężarówki i kazali im wolno z rękami lekko uniesionymi do góry wyjść. Bardzo brutalnie rzucili ich na asfalt, a ręce zakuli kajdankami. Przeszukali leżących i wsadzili do odrębnych radiowozów. Dokładnie w tym samym momencie na drodze tuż obok ciężarówki wylądowały dwa helikoptery. Wskoczyło z nich ośmiu mężczyzn w ciemnych garniturach, trzymając w rękach rozłożone legitymacje.

– Kapitan John Bery, FBI, przejmujemy zatrzymanych.

Na twarzy policjantów pojawił się grymas niezadowolenia.

– Dziękujemy za zatrzymanie zbiegów, odpowiednie papiery przekażę waszemu szefowi. Policjanci schowali broń i jak niemieccy żołnierze pobici pod Stalingradem zaczęli zwijać kolczatki z autostrady. Bery podszedł do radiowozu, w którym siedziała Gloria, otworzył drzwi i rzucił do jednego z policjantów:

– Proszę ich rozkuć.

Policjant niechętnie zdjął kobiecie kajdanki, a ta rzuciła się funkcjonariuszowi FBI na szyję i powiedziała:

– Dzięki Bogu, zdążyłeś.

Bery mocno przytulił Głorię i sucho zakomenderował:

– Wskakujcie do śmigłowca, bo już sędzia stanowy na was czeka.

Wsiedli do kabiny, zapięli się pasami, a Gloria cała rozpromieniona oznajmiła:

– Nie wiem, jak ci mam dziękować?

Bery uśmiechnął się.

– Ja tam wiem, ale twój przyjaciel mógłby to wziąć dosłownie, nie uszanować legitymacji FBI i niewątpliwie dostałbym w mordę.

Po czym odwrócił się przyjaźnie do Jonesa i podał mu rękę, mówiąc:

– John jestem. To zaszczyt dla mnie pana poznać.

Jones wydukał tylko Jerry i zupełnie zdezorientowany tą sytuacją zaczął wyglądać przez okno helikoptera. Po chwili dotarły do niego słowa wypowiedziane przez kapitana Berego „dostałbym w mordę”. Kątem oka spojrzął na Głorię i uzmysłowił sobie, że chyba się w niej z wzajemnością zakochał

i ten kapitan coś o tym wie. To są chyba starzy przyjaciele – pomyślał. – Tylko jakim sposobem chrześnica największego przemytnika narkotyków może być w tak zażyłych kontaktach z wysokim funkcjonariuszem FBI?

Kiedy wylądowali na lądowisku na tyłach sądu stanowego, ogarnął go przeraźliwy strach. Weszli tylnym wejściem do wielkiego gmachu i schodami udali się na drugie piętro do sali rozpraw. Gloria została z innym funkcjonariuszem na ławce przed salą. Wewnątrz sali rozpraw, za dużym biurkiem, w sędziowskiej todze siedział siedemdziesięcioletni mężczyzna, obok niego skromnie ubrana młoda kobieta, zaś po prawej stronie naprzeciwko przy prostokątnym dębowym stole dwóch lalusiowatych facetów w ciemnych garniturach.

– Proszę bliżej, panie Jones – mocnym głosem powiedział sędzia.

Jerry podszedł drobnym truchtem jak uczeń do tablicy i stanął jakieś trzy metry przed sędzią.

– Odczytam panu raport policji sporządzony na miejscu, w którym stał pana dom przy plaży. Może pan go potwierdzić lub zaprzeczyć, albo mieć do niego uwagi, jeśli coś pana zdaniem nie jest zgodne z prawdą. Pro forma muszę pana zapytać, czy pan mnie zrozumiał?

– Tak, Wysoki Sądzie.

Sędziwy staruszek zaczął czytać raport. Kiedy skończył, położył kartki papieru na biurku.

– Panie Jones, czy zdarzenia opisane w tym raporcie są zgodne z prawdą?

– Tak, Wysoki Sądzie.

– Proszę pana prokuratora o wypowiedzenie się.

Starszy z lalusiowatych facetów wstał i bezpardonowo zaatakował:

– Wysoki Sądzie, mamy tutaj do czynienia z zabójstwem pierwszego stopnia, a więc wnoszę o bezzwłoczne zatrzymanie pana Jerrego Jonesa, gdyż za ten czyn, czyli podwójne morderstwo, w stanie Kalifornia grozi kara śmierci.

Jerremu na te słowa ugięły się nogi. Przed oczyma zrobiło mu się ciemno, a świat zawirował jak na dużej łańcuchowej karuzeli.

– I wnoszę o rozpatrywanie tej sprawy zgodnie prawem stanu Kalifornia w obecności ławy przysięgłych.

Sędzia prawą ręką poruszał bez celu zegarkiem na lewej ręce i po chwili powiedział:

– Kapitanie Bery, wszyscy, oprócz prokuratora i jego asesora, natychmiast opuszczają salę.

Po chwili sędzia, patrząc drwiącym wzrokiem na prokuratora, zapytał:

– Ile ma pan lat?

– Niedawno skończyłem czterdzieści – odparł mocno zdziwiony pytaniem sędziego.

– A myślał pan, gdzie po tej sprawie znajdzie pan pracę?

Prokurator jeszcze bardziej zdziwiony zareagował nietypowo:

– Wysoki Sąd wybaczy, ale nie zrozumiałem pytania.

– Jest pan młody, ambitny i doprowadzenie do kary śmierci Jerrego Jonesa, jednego z najlepszych pisarzy w USA, dałoby panu kopniaka w górę, czyż nie tak – ironizował sędzia. – Przecież obydwoj wiemy, że to była obrona konieczna. Jones nigdy nie posiadał broni, a ludzi, którzy zabili tę kobietę, pan oświadczył z tej sali, że przygotował akt oskarżenia. Żaden, nawet najmniej inteligentny Amerykanin, nie uwierzy

w to, że pisarz Jerry Jones z premedytacją zabił dla przyjemności dwóch płatnych zabójców, którzy od lat pracowali dla mafii. Przeciwno sobie będziesz miał wszystkich Amerykanów. Tego nie wygrasz. A tak na marginesie to powinien być mu pan wdzięczny, że tych typów nasza kochana amerykańska ziemia już nie nosi. Oni sami nie wiedzieli, ilu ludzi w swoim podłym życiu zabili.

Mina prokuratora mówiła teraz wszystko, szukał tylko w głowie odpowiednich słów, aby wyjść z twarzą z tej niezręcznej sytuacji.

– To gdzie pan tej pracy wraz ze swoim asesorem będzie teraz szukał? – ponowił pytanie sędzia.

W końcu prokurator zebrał się w sobie i powiedział:

– Widocznie nie dość dokładnie w tym całym natłoku spraw przygotowałem się do tego przesłuchania. Bardzo proszę o wybaczenie mojego uchybienia i niepowiadanie o przebiegu tego, co tu miało miejsce, mojego szefa.

Sędzia litościwie pokiwał tylko głową i spokojnie powiedział:

– Te twoje chore ambicje zawiodą cię kiedyś do tego, że, aby wygrać sprawę, sam złamiesz prawo. Uważaj na to, chłopcze, bo to już twój nie pierwszy raz.

Prokurator zwiesił głowę i milczał.

– No to zawołaj Jonesa i złóż oficjalne zawiadomienie o wszczęciu jego sprawy, a wydam nakaz jego aresztowania.

Prokurator obrócił się na pięcie i z korytarza zawołał Jonesa wraz z funkcjonariuszami FBI. Jerry ponownie stanął przed sędzią i sino-błady czekał na to, co teraz się wydarzy.

– Prokurator ma głos – orzekł surowo, bardzo spokojnie staruszek.

Prokurator wstał i udając, iż szuka odpowiedniej kartki, niemrawo zaczął:

– Panie Jones, wobec dowodów zebranych na miejscu zdarzenia przez policję z trzeciego wydziału kryminalnego Los Angeles po jeszcze bardziej dokładnej analizie faktów uznaję, iż działał pan zgodnie z prawem, choć w specyficzny sposób, w obronie własnej i na tej podstawie wnoszę tak jak wyżej. Proszę teraz o ustosunkowanie się Wysokiego Sądu do mojego wniosku.

Sędzia potarł ręką brodę i oznajmił:

– Nie będę się długo rozwodził nad wnioskiem prokuratora. Całkowicie przychyliam się do wniosku pana prokuratora.

Wziął do ręki drewniany młotek, podniósł go do góry i powiedział:

– Od tej pory jest pan wolnym obywatelem USA – a następnie z całej siły uderzył w drewnianą deseczkę. Wstał, złowrogo spojrzał na prokuratora i wyszedł na zaplecze.

Bery poklepał Jonesa po ramieniu i z lekkim uśmiechem powiedział:

– Chodź, Jerry, bo ktoś tam bardzo zniecierpliwiony na ciebie czeka.

Kiedy wyszli na korytarz, Gloria rzuciła mu się na szyję i dała soczystego buziaka.

– Teraz muszę jechać, ale wkrótce się spotkamy – i w asyście sześciu mężczyzn z FBI zbiegła po schodach. Kiedy była już przy drzwiach, zatrzymała się, od wewnętrznej strony pocałowała swoją dłoń i mocno w nią chuchnęła w kierunku Jerrego. Jej oczy rozbłysły jak gwiazdy na niebie i za chwilę całkowicie zniknęła z jego pola widzenia.

– Ale jak ja ją teraz znajdę? – zapytał Johna Berego.

– Nic się nie martw, zakochani nigdy się nie zgubią – odrzekł z zazdrosnym uśmiechem na twarzy. – Chciałbym mieć takie szczęście jak ty, no ale widocznie nie każdy rodzi się pod tak szczęśliwą gwiazdą.

Podał Jerremu rękę na pożegnanie i również po chwili znikł za szerokimi wejściowymi drzwiami sądu w Los Angeles.

XX

Dzień później punktualnie o dziesiątej rano w mieszkaniu Jima Mareya rozległo się głośnie walenie pięściami po mocnych dębowych drzwiach. Jim zerwał się z fotela, sięgnął do metalowej szafki po swój prywatny pistolet, przeładował i podszedł pod wizjer, aby zobaczyć, kto tam w tak niekonwencjonalny sposób składa mu wizytę.

– Panie Marey, proszę natychmiast otworzyć, FBI – dobiegł go głośny męski głos z korytarza.

W wizjerze zobaczył paru mężczyzn trzymających w rękach rozłożone legitymacje służby federalnej. Jim przekręcił klucz w zamku i z przeładowaną bronią w ręku szeroko otworzył drzwi.

– Agent specjalny Ken White, FBI – przedstawił się pięćdziesięciokilkuletni mężczyzna.

– Głośniejsze nie dało? – odburknął Jim.

– Nie czas teraz, panie Marey, na konwenanse. Proszę się ubrać, pojedzie pan z nami.

Jim zaprosił gestem ręki gości do mieszkania, poszedł do pokoju, schował broń, założył buty i wraz z agentami opuścił mieszkanie. Dużą ciemną limuzyną pojechali wprost do siedziby FBI. Na miejscu okazało się, że budynek przypomina istną twierdzę. Otoczony był kordonem wojska, policji i agentami FBI. Marey przez cały czas milczał,

mając w pamięci feralną śmierć Marka Lemona. Przedarli się przez służby ochraniające budynek i chwilę później znaleźli się w gabinecie szefa FBI. Agenci zostali za drzwiami, a do środka wszedł tylko sam Jim. Spojrzał na fotel za biurkiem i dosłownie oniemiał. Na fotelu siedział nie kto inny jak sam prezydent Stanów Zjednoczonych. Po jego lewej stronie w dużych skórzanych fotelach siedzieli szef CIA, sekretarz stanu, szef FBI i wyglądający na byłego żołnierza sześćdziesięcioletni, szpakowaty mężczyzna oraz gubernator Kalifornii.

– Proszę, panie Marey, niech pan usiądzie – uprzejmie wskazał ręką na fotel prezydent.

Jim nadal stał jak wryty i nie wiedział, o co w tym spotkaniu chodzi.

– Proszę, śmiało – powtórzył prezydent.

Marey powoli usiadł w fotelu, nie opierając się, i ze zdumioną miną patrzył prosto w oczy prezydentowi, w myślach przepowiadając sobie swój kataklizm.

– Panie Marey, to, co zostanie tutaj powiedziane, jest ściśle tajne i objęte klauzulą bezpieczeństwa narodowego. Czy pan to przyjął do wiadomości?

Jim z wrażenia tylko przytaknął głową i nadal wpatrzony w oczy prezydenta czekał, co się dalej wydarzy.

– Czy pan to dobrze zrozumiał? – powtórzył raz jeszcze prezydent, widząc przed sobą na wpółobecnego super glinę.

– Taak, panie prezydencie – w końcu wydusił z siebie pierwsze słowa.

– To doskonale, ten aspekt mamy już za sobą – przyjaźnie oznajmił prezydent. – Teraz przejdźmy do meritum sprawy, panie Marey.

Jim nadal jak zahipnotyzowany chłonał słowa prezydenta wszystkimi zmysłami, niczego nie rozumiejąc.

– Został pan tutaj wezwany na naradę, jak sam pan widać, na najwyższym szczeblu państwowym. Powiem wprost, dlaczego to właśnie pan tutaj się znajduje. Niedawno zdobył pan niezbita dowody na Marka Lemona. Otóż po tragicznej śmierci Lemona w jego laboratorium służby federalne znalazły strzępki notatek dotyczących dwóch szczepionek. Jednej na złośliwego raka trzustki, a drugiej opóźniającej proces starzenia komórek człowieka o co najmniej dwadzieścia lat, czyli taki eliksir młodości.

– Czy pan mnie słyszy? – zapytał prezydent mało jeszcze obecnego Mareya.

– Tak – odparł zaskoczony tym, co mówi do niego prezydent.

– To bardzo dobrze. Drugą sprawę mamy za sobą.

– To znaczy słyszę, ale nie rozumiem – przerwał prezydentowi Marey.

– W tej fazie tłumaczenia panu tej sytuacji na razie nic nie szkodzi, zaraz na pewno pan wszystko zrozumie.

Marey dał znać głową, iż czeka na dalsze wyjaśnienia i prezydent ponownie zaczął:

– Panie Marey, czy dobrze pan zna Pedro Juareza?

– Można śmiało powiedzieć panie prezydencie, że kiedyś znałem go nawet bardzo dobrze, przecież wychowaliśmy się po sąsiedzku i chodziliśmy do tej samej klasy.

– A teraz? – prezydent uważnie przyglądał się Jimowi.

– Szczerze mówiąc, widziałem go jakieś dwadzieścia lat temu i miałem go już na widelcu; gdyby nie jeden człowiek,

który ma na jego punkcie obsesję, to Juarez już dawno siedziałby w celi śmierci.

– Kto to taki?! – szorstko zapytał prezydent.

Marey opuścił głowę.

– A czy mogę na to pytanie nie odpowiadać, panie prezydencie?

– Niestety nie, bo to nie jest jakiś okolicznościowy raut, tylko sprawa wagi państwowej.

– A może mi pan prezydent zagwarantować, że nie stracę emerytury i nie będę przez te służby szykanowany?

– Słowo Prezydenta Stanów Zjednoczonych – bardzo poważnie oznajmił prezydent.

Marey pokręcił się nerwowo na fotelu, spojrzął na szefa FBI i cicho wydukał:

– Agent FBI, John Bery.

– Rozumiem – z zagryzioną ze złości wargą odparł prezydent.

Po chwili nieprzyjemnej ciszy i niewyraźniej miny szefa FBI, prezydent oznajmił:

– Dobrze, panie Marey, teraz przejdziemy do sedna sprawy. Czy jest pan gotów?

– Tak, panie prezydencie.

– Dzisiaj w nocy jednostka specjalna komandosów – osiem śmigłowców wraz z pełną obsadą – poleciała na teren Meksyku, aby ująć Juareza i żaden z naszych żołnierzy nie powrócił, ani też żadna nasza maszyna. Naszym priorytetowym zadaniem jest jak najszybsze ujęcie Juareza, a bardziej dokładnie, zdobycie za wszelką cenę – powtarzam panie Marey – za wszelką cenę – teczek z dokładnym opisem linii produkcyjnej tych szczepionek. Czy pan to rozumiał?

Marey tylko przytaknął głową, nic nie odpowiadając. Prezydent odczekał dłuższą chwilę.

– Jak widzi pan powodzenie tej akcji? – i nawet nie czekając na odpowiedź, dodał: – Zna go pan przecież jak nikt w naszym kraju.

Marey usiadł wygodniej w fotelu i bardzo oficjalnie zapytał:

– Szanowny panie prezydencie, złapanie Juareza przez wojsko, siły specjalne czy przez obojętnie jaką inną służbę, z całym szacunkiem dla pana prezydenta, ale to tak jakby ktoś chciał gołymi rękami w zimę zatrzymać wiatr na Czomolungmie. Juarez to lis, hiena, wilk i czarna pantera w jednej skórze. Może pan prezydent wysłać do Meksyku całe Marines i będą gonić tylko wiatr, a po drodze ponosić bardzo dotkliwe straty, aż w końcu skapitulują.

– To chce mi pan powiedzieć, że nic się nie da zrobić? – podniósł głos prezydent.

Marey zdobył się na odwagę i zapytał:

– Czy mogę mówić szczerze?

– Oczywiście – odparł prezydent.

– Juarez stworzył międzynarodową organizację zajmującą się prawie wszystkim, co przynosi duże pieniądze. Narkotyki, broń, handel ludźmi: sam nie bawi się w wydawanie wyroków i likwidowanie zagrożeń, tylko je zatwierdza. W jego organizacji główne akcje przeprowadzają najemnicy, których bardzo dobrze opłaca. Są to ludzie, którzy służyli w legii cudzoziemskiej, byli żołnierze jednostek specjalnych z bardzo różnych krajów, także i z naszego. A wiadomości kupuje w bardzo specyficzny sposób.

– W jaki? proszę wyjaśnić.

– Ma parę źródeł informacji, od CIA, FBI, chłopców od narkotyków i wysokich dowódców jednostek specjalnych w USA, Rosji, Europie, Azji i na Bliskim Wschodzie.

– Rozumiem, ale jak on zdobywa te informacje? – ponaglał go prezydent.

– W dzieciennie prosty sposób. Przyjeżdżają dobrze ubrani najemnicy podający się za agentów CIA do domu takiego agenta, zabierają jego całą rodzinę, mówiąc, że grozi im chwilowe niebezpieczeństwo i wywożą w ustronne miejsce. Nie stosują przemocy, tylko robią film i pokazują go temu agentowi. Juarez osobiście wówczas proponuje agentowi drugą bardzo wysoką pensję do końca jego służby i daje piętnaście minut na zastanowienie. Nigdy żadnego z agentów nie straszy, nie mówi, że coś stanie się jego rodzinie, ale to pozostawia podtekstowi sytuacyjnemu.

– No a co, jak się agent nie zgodzi? – rzucił prezydent.

– Nic. Wypuszcza go wraz z całą rodziną i czeka, aż agent otrzyma zadanie wywiadowcze poza granicami naszego kraju i wówczas ginie. Z tego, co wiem, to tylko jeden agent FBI nie poszedł na współpracę z Juarezem.

– Kto taki? Niech pan w końcu mówi! – wykrzyczał prezydent.

– Ten idiota z FBI, John Bery.

– Skąd pan to wie? – zapytał szorstko Prezydent.

– Panie prezydencie, przez tyle lat swojej służby, aby być skutecznym, dorobiłem się więcej kapusiów, którzy mi donosili, niż w całym swoim życiu miałem wrogów.

– Panie Marey, zdaje pan sobie sprawę, że musimy odzyskać papiery do linii produkcyjnej tych szczepionek, bo nasze pań-

stwo w przeciągu dwóch lat zamieni się w księstwo Juareza. Gdzie on może teraz być? – zapytał, zdruzgotany tym, co usłyszał od Jima, prezydent.

– Wszędzie! Może być w Azji, Meksyku, Kolumbii, ale też, i to mówię zupełnie poważnie, nawet dwie ulice stąd. Z całym szacunkiem, panie prezydencie, ale żadnymi siłami specjalnymi, komandosami ani podstawionymi agentami nie da się go wytropić.

Prezydent postukał palcami po biurku i wypalił jak z armaty:

– Ale przecież musi być jakiś sposób, aby go złapać, zanim uruchomi produkcję!

Marey spojrział na wściekłego prezydenta i uśmiechnął się, zasłaniając od razu usta.

– Przepraszam pana, prezydencie, za ten niestosowny uśmiech.

– Co pana tak rozśmieszyło? – prezydent groźnie zmarszczył brwi.

Marey pobałdł.

– Bardzo pana proszę, abym nie musiał odpowiadać na to pytanie.

– Nie, panie Marey. Nie jesteśmy w szkółce niedzielnej, tylko naradzamy się, jak ocalić nasz kraj.

Jim przekręcił się w fotelu i bardzo potulnie powiedział:

– Tylko bardzo pana prezydenta za te słowa przepraszam.

– Czekam – oznajmił sucho prezydent.

– Mam nieraz taką swoją głupawkę i wyobraziłem sobie jak pan prezydent po skończonej drugiej kadencji stoi w ciemnej bramie w długim czarnym płaszczu z postawionym koł-

nierzem, w kapeluszu i czeka z walizką pieniędzy na eliksir młodości dla swojej żony. Raz jeszcze pana prezydenta przepaszam.

– A pan jest żonaty? – już przyjaźnie zadał pytanie prezydent.

– Nie – odparł Marey – ale wiem, że prawie każda kobieta chciałaby mieć w tym naszym zwariowanym świecie, gdzie nad wszystkim góruje kult pieniądza i młodości, taki eliksir. I też wiem, że jakby jej mąż się na to nie zgodził, to weźmie z nim rozwód, sprzeda połowę majątku i tak bez jego aprobaty sobie coś takiego kupi. – Marey zawiesił na chwilę głos i dodał: – Dopiero teraz rozumiem słowa Juareza sprzed ponad trzydziestu lat, że cały świat kiedyś legnie u jego stóp, a najwięksi tego globu będą skomleć jak chory pies, błagając go o choćby okruszek jego dzieła.

Twarz prezydenta wykrzywił dziwny grymas.

– Ten Juarez to geniusz czy idiota?

Marey szukał w głowie odpowiedniego słowa.

– Ja nazwałbym go raczej wizjonerem bez skrupułów. Pamiętam jeszcze, jak mówił w dzieciństwie, że w Biblii napisano, że na początku ludzie żyli po dziewięćset lat, to i on też tyle będzie żył. Wówczas z tego wszyscy się w klasie śmiali i uważali go za niespełna rozumu, ale teraz wygląda na to, że dopiął swego.

– Panie Marey, to pan go zna najlepiej, proszę pomyśleć, jak go mamy pochwyć?

Jim wziął głęboki oddech i wolno wypuścił powietrze. Spojrzał wymownie na prezydenta i, wzruszając ramionami, smutno oznajmił:

– Naprawdę nie wiem, panie prezydencie.

– A wy, geniusze, jaki macie plan? – prezydent zwrócił się do szefów poszczególnych służb.

Wszyscy jak na komendę opuścili głowy, nic nie odpowiadając.

– Chociaż? – przerwał milczenie Jim.

– Słucham, panie Marey.

– Juareza trzeba podejść po prostu sprytem. Wprawdzie on nie ma słabych punktów, ale myślę, że mam niezły pomysł.

– Jaki? Niech pan w końcu mówi! – gorączkował się prezydent.

– Potrzebuję skorumpowanego agenta na usługach Juareza. Prezydent surowo spojrzał na swoich podwładnych.

– Z tym nie będzie problemu – powiedział szef CIA. – Od dwóch dni siedzi w tutejszym areszcie i czeka na transport do Waszyngtonu.

– To na co pan jeszcze czeka?! – uniósł się prezydent.

Szef CIA wstał i prawie biegiem opuścił gabinet.

– Jaki ma pan plan, panie Marey? – zapytał coraz bardziej wściekły prezydent.

Jim spojrzał mu w oczy i zapytał:

– Mogę się przejść do przyjazdu tego agenta i wszystko sobie w głowie poukładać?

– Pytałem pana o plan – twardo nalegał prezydent.

– Jak wrócę i w spokoju go przemyślę, to pan dowie się jako pierwszy, dobrze?

Prezydent przyzwalająco kiwnął głową i Jim opuścił gabinet. Po półgodzinie spacerowania wokół budynku FBI, Jim zobaczył, jak pod gmach podjeżdża więzienny opancerzony samochód i wyprowadzają z niego zakutego w kajdanki czterdziestoletniego człowieka. Szybkim krokiem ruszył za nimi

i po chwili znalazł się w gabinecie. Wziął stojący pod ścianą stołek i zwrócił się do prezydenta.

– Czy będzie pan uprzejmy wydać zgodę na rozkucie tego człowieka?

W prezydencie aż się zagotowało.

– Panu się chyba w głowie, Marey, pomieszało, to zdrajca Ameryki, który skończy w celi śmierci, a pan mnie prosi, abym go rozkuł!

– Z całym szacunkiem, panie prezydencie, dzisiaj ten człowiek rzeczywiście jest zdrajcą, ale już jutro może być naszym wielkim bohaterem.

Prezydent uważnie wejrzał w oczy Mareya i zapytał:

– Pan na pewno wie, co robi?

– Tak i wydaje mi się, że nigdy wcześniej nie byłem w życiu tego tak bardzo pewien.

Prezydent kiwnął głową do szefa CIA, ten rozkuł więźnia, a Marey jak do starego przyjaciela powiedział:

– Usiądź, proszę – i ręką wskazał na stołek stojący naprzeciwko jego fotela.

Mężczyzna usiadł zdziwiony.

– Jak ci na imię? – zapytał Jim.

– Alan – usłyszał odpowiedź.

– Tak więc słuchaj, Alan, obydwaj wiemy, w jakiej jesteś sytuacji i chyba sam przyznasz, że nie wygląda ona za ciekawie. Jednak jeżeli tak zupełnie przypadkiem poszedłbyś nagle po rozum do głowy, to twoje położenie mogłoby zmienić się diametralnie.

– Co ma pan na myśli? – zapytał więzień.

– Przecież ta sprawa nie musi się dla ciebie skończyć wcale źle. Potrzebuję tylko od ciebie niewielkiej przysługi, a gwa-

rantuję ci w obecności prezydenta, że wyjdiesz z tego cało. Wprawdzie zostaniesz wydalony ze służby, ale nie pod zarzutem, jaki masz teraz, a za jazdę po pijanemu i spowodowanie wypadku. Czyli prawie żadnych konsekwencji.

Mężczyzna spojrział na prezydenta, a ten kiwnął głową, mając w pamięci opinię o Mareyu, którą szef policji przekazał mu jeszcze przed przylotem do Los Angeles.

– I co ty na to? – spokojnie zapytał Marey.

– Co mam zrobić? – rzucił przyparty do muru mężczyzna.

– Czyli zgadzasz się na współpracę?

– Tak!

– A więc słuchaj. Znasz takiego dżentelmena, na którego mówią Rodriguez?

Mężczyzna pokiwał tylko głową.

– A masz do niego tak oczywiście całkiem przypadkiem numer telefonu?

– Mam, ale jak podam, to oni mnie i moją rodzinę pokroją maczetami na drobne kawałki.

Marey przecząco pokręcił głową.

– I tu się, Alan, bardzo mylisz.

– A co, może pan mnie przed nimi obroni? – zaśmiał się Jimowi w twarz.

– Dokładnie tak jak powiedziałeś.

Mężczyzna opuścił głowę, głęboko westchnął.

– Powiem, ale dajcie ochronę mojej rodzinie, inaczej nie ma o czym mówić.

Obserwujący tę scenę prezydent, ufając Mareyowi, zwrócił się do szefa FBI:

– Daj ochronę natychmiast.

Zwierzchnik służby federalnej zerwał się z fotela i wyszedł. Marey wstał i czując się jak w swoim dawnym gabinecie na policji, wziął kartkę oraz długopis z biurka i podał go Alanowi. Mężczyzna raz jeszcze spojrział na prezydenta i pochylając się nad kartką papieru, zapisał numer. Marey wyjął z kieszeni pomięte 20 dolarów i powiedział:

– Tu naprzeciwko jest niezły bar, idź, Alan, coś zjeść, bo tam w areście kiepsko karmią i wróć tutaj za równą godzinę.

– Tak sam bez obstawy? – zdumiał się mężczyzna.

Marey tylko pokiwał głową i ręką wskazał na drzwi. Alan wstał i nie wierząc w to, co się dzieje, wolno opuścił gabinet.

– Panie Marey, czy pan na pewno wie, co robi?

– Tak – odparł stanowczo.

Wyjął z kieszeni telefon komórkowy, wystukał na klawiaturze numer, włączył zestaw głośnomówiący i po chwili w słuchawce wszyscy w gabinecie usłyszeli ochrypnięty bełkotliwy głos.

– Czego tam znowu!

– Rozumiem, że dodzwoniłem się do Rodrigueza krowie łajno.

Tego przez chwilę zatkało i zaraz nerwowo wykrzyczał:

– Nie wiem, kim jesteś, sukinsynu, ale jeżeli nie przyjacielem szefa, to jak cię dorwę, to obetnę ci jaja i wsadzę do mordy.

– Słuchaj, imbecyлу. Zdejmij z szyi kolczatkę, odepnij łańcuch od budy, tylko nie zdejmuj kagańca, żebyś nikogo po drodze nie pogryzł i zaaportuj swojemu panu, że dzwoni Jim Marey w sprawie tych trefnych szczepionek, to może da ci dobrą kość do obgryzienia. I pamiętaj, świński ryju, że czekam tylko dziesięć minut na telefon, a później, jak Pedro ruszy z pro-

dukcją tych szczepionek, to nadzieje się jak wyschnięte łajno na widły.

Po tej tyradzie Marey przerwał połączenie.

– A jeżeli nie zadzwoni? – zapytał spokojniej już prezydent.

– Sam pan powiedział, że nikt nie zna Juareza tak jak ja, a więc poczekajmy.

Szef CIA szybkim krokiem opuścił gabinet i kiedy po paru minutach wrócił, powiedział:

– Panie prezydencie, namierzyliśmy, gdzie jest Juarez.

– Gdzie? – zapytał prezydent.

– W Kolumbii.

– No to ładne buty – powiedział pod nosem Pierwszy Obywatel USA – bo... – przerwał mu dzwonek telefonu.

Jim ponownie włączył zestaw głośnomówiący.

– Witaj Pedro, Marey z tej strony.

– No witaj, Jim.

– Przeszedłem już na jałmużnę, czyli to coś, co moje państwo nazywa emeryturą.

– To gratuluję – odparł spokojny jak zwykle Juarez.

– Za bardzo nie ma czego, bo zaczęły się przede mną chude lata.

– To fakt Jim, ale chyba nie o tym chciałeś ze mną rozmawiać?

– Po części o tym. Skończyłem uganiać się już za przestępcami, to teraz chciałbym coś do tej emerytury dorobić.

– No wiesz Jim, u mnie teraz krucho z etatami, a po drugie strasznie zbluzgałeś Rodrigueza i nie mógłbym ci zapewnić bezpieczeństwa.

– Mówisz bezpieczeństwa, Pedro? To ty jak uruchomisz tę głównianą produkcję, to nie znajdziesz już nigdy nigdzie bezpieczeństwa. Zawsze byłeś taki czujny, a na stare lata dałeś ogrzać się jak początkujący pokerzysta.

– Nie rozumiem – odparł zdziwiony Juarez.

– To proste Pedro, ty masz gównno, a ja mam oryginał, a że zawsze w szkole miałeś lepsze rozwiązania, to pomyśl jak to ugryźć.

– Blefujesz, Jim – rzucił Pedro.

– No to niech twoi chemicy sprawdzą, co się stanie z tą szczepionką, kiedy ją komuś wstrzykniesz.

– Co się stanie, będzie koniec świata? – zadrwił Juarez.

– Nic wielkiego. Zamiast powstrzymać proces starzenia, po niecałym miesiącu wywoła raka pierwotnego wątroby z szybkimi przerzutami na inne organy. Tę szczepionkę Lemon chciał mieć do usuwania swoich wrogów. No, ale skoro nie jesteś zainteresowany, to, co mam, sprzedam komuś innemu.

– Zaraz, zaraz. Jim, nie bądź w gorącej wodzie kąpany.

– Muszę kończyć. Niech twoi ludzie to sobie sprawdzą i jakbyś chciał ubić interes na moich warunkach, to zadzwoń jutro rano. Aha, i nie przysyłaj swoich ludzi do mnie, bo i tak nawet ta kupa gówna Rodriguez nie odzyska tych papierów.

– Dlaczego?! – zapytał zdziwiony Juarez.

– Lubię cię, Pedro, to ci powiem: papiery trzymam u siebie w domu w małym sejfie. Tylko problem dla ciebie jest taki, że przy próbie otwarcia go nastąpi w nim wielki pożar, a ja nie wiem, jak się go otwiera. Tak więc do jutra – Marey spokojnie wcisnął czerwony przycisk.

– Pan nie wie, co zrobił! – zaniepokoił się prezydent.

– Wiem, panie prezydencie, z wykształcenia jestem chemikiem i mam licencjat z biologii. Nie zawsze byłem policjantem

– powiedział bardzo zdecydowanie i zapytał:

– Czy mogę już pójść do domu?

– A co dalej?

– Będę tutaj jutro o dziewiątej i zobaczy pan, że rybka połknęła haczyk.

Prezydent kiwnął głową i cicho powiedział:

– Oby tak się stało.

Jim opuścił gmach FBI i wolno udał się w kierunku domu.

XXI

Po nieprzespanej nocy i przeanalizowaniu wszystkich znanych mu chwytów na najsprytniejszych przestępców Marey równo o godzinie dziewiątej stawił się w gabinecie szefa FBI. Na miejscu zastał te same co poprzedniego dnia osoby. Prezydent poprosił, aby Jim usiadł w fotelu i od razu przeszedł do rzeczy.

– Czy ma pan już gotowy plan, panie Marey?

Jim przytaknął głową i w tym samym momencie zadzwonił jego telefon. Włączył na zestaw głośnomówiący.

– Marey, słucham.

– No witaj – usłyszał w słuchawce głos Pedra.

– Słuchaj, zadzwoń za jakieś pół godziny, bo mojej sąsiadce zalewa mieszkanie i muszę jej pomóc.

– Proszę niech pani idzie już do siebie, a ja zaraz tam przyjdę.

– Co ty pieprzysz, Jim? – szorstko rzucił Juarez.

– Za pół godziny Pedro – i przerwał połączenie.

– Co pan robi Marey? – zdenerwował się prezydent.

Jim spojrzał na głowę narodu i na granicy bezczelności powiedział:

– Wiem, jak odzyskać szczepionki i w końcu wsadzić Juareza i jego najbliższych współpracowników do więzienia.

– To doskonale, ale dlaczego pan odłożył teraz słuchawkę?

Jim wstał z fotela, stanął przed prezydentem.

– Odłożyłem słuchawkę, bo w pierwszej kolejności chcę mieć słowo prezydenta Stanów Zjednoczonych, że zatrzymanie Juareza i jego świty nie będzie zimną egzekucją, a po zatrzymaniu będą mieli zgodnie z prawem uczciwy proces.

– O czym pan mówi?

– Mówię o tym, że Juarez ani żaden z jego ludzi nie da się wziąć żywcem, więc snajperzy jednostki specjalnej zrobią z nich sito, a żebym brał w tym udział, to już do tego, panie prezydencie, nikt mnie nie zmusi, nawet pan. Decyzja należy do pana, panie prezydencie.

Z fotela z boku zerwał się szef jednostki specjalnej.

– Marey, pan zupełnie oszalał. Juarez ma najlepszych najemników na świecie i tylko przez zmasowany atak możemy go zatrzymać.

Jim zwrócił się twarzą do szefa komandosów i z ironicznym uśmiechem na twarzy powiedział:

– Nie zatrzymać, a podziurawić kulami jak dziką kaczkę na polowaniu śrutem z dubeltówki. Ale ja, szanowny panie, w tym udziału nie biorę.

Obrócił się w stronę biurka i zapytał:

– Czy mogę, panie prezydencie, pójść już do domu?

– Pan oszalał, Marey. Proszę siadać i mówić, jaki ma pan plan. Marey z żarliwością zaczął mówić.

– Po studiach z biologii nie mogłem długo znaleźć pracy, więc poszedłem do policji. Przez prawie całą służbę łapałem najgroźniejszych bandytów, ale nigdy, powtarzam, panie prezydencie, nigdy nie wystawiłem żadnego z nich na pewną egzekucję. A wie pan dlaczego? – Prezydent wpatrzony w niego z dziwną miną milczał. – To powiem panu. Nawet największa

kanalia według naszej konstytucji zasługuje na uczciwy proces i nikt tego w tym kraju nie może zmienić, w przeciwnym razie moralnie sam staje się taki jak oni, panie prezydencie!

– Ten człowiek jest szalony, oni będą do moich chłopców strzelać jak do tarczy, a pan Marey mówi o jakimś procesie. Przecież to jakaś kompletna paranoja! – nie wytrzymał szef komandosów.

Prezydent surowo spojrzął na szefa jednostek specjalnych i przez zęby wycodził:

– Proszę usiąść i przy mnie zachować zasadę, że nie pytany milczy.

– Tak jest, panie prezydencie.

– Proszę usiąść, panie Marey. Ma pan oto moje słowo, że do żadnej egzekucji nie dojdzie, czy to panu wystarczy?

Szef komandosów złapał się za głowę i coś pod nosem do siebie powiedział. Prezydent zauważył to.

– Jeżeli kwestionuje pan moje słowa, to od jutra może pan przejść na wcześniejszą emeryturę albo na etat portiera w swojej jednostce.

Mężczyzna wstał, stuknął butami jak wzorowy żołnierz i ze skruchą w głosie powiedział:

– Przepraszam pana prezydenta, to się już więcej nie powtórzy.

Prezydent kiwnął głową i zwrócił się do Jima:

– A więc jaki ma pan plan?

– Będę improwizował, ale wszystko pan będzie słyszał – odparł już uspokojony Marey.

– A nie bierze pan pod uwagę możliwości, że coś może pójść nie tak i trzeba będzie użyć jednostek specjalnych?

– Nie i zrobię wszystko, aby pana o tym przekonać.

– Dobrze panowie – prezydent zwrócił się do wszystkich obecnych w gabinecie. – Realizujemy plan pana Mareya. Czy są jakieś pytania? – Wszyscy mężczyźni w gabinecie milczeli jak grób. – To bardzo dobrze, że w tej sprawie jesteśmy jednomyślni – oznajmił głosem głównodowodzącego prezydent.

Po dłuższej chwili w gabinecie rozdzwonił się telefon Mareya. Jim ponownie włączył zestaw głośnomówiący i rzucił do słuchawki, udając zadyszanego:

– Marey, słucham.

– I pobawiłeś się już w hydraulika? – kpiącym tonem zapytał Pedro.

– Nie do końca, ale teraz mogę już rozmawiać.

– Jim, nie spodziewałem się tego po tobie, że nawet na emeryturze będziesz chciał mnie złapać.

– No to skoro tak uważasz, to bywaj – i rozłączył się.

– Panie Marey, co pan do cholery robi?

Jim wzruszył tylko ramionami.

– To, co robiłem przez całe życie, czyli łapię groźnego przestępcę.

– Czy mogę coś powiedzieć, panie prezydencie? – zapytał gubernator.

– Proszę.

– Pan Marey, jakby to powiedzieć, ma dość dziwne podejście do chwytania przestępców. Bawi się trochę z nimi tak jak stary kot z małą myszką, ale na końcu efekt jest murowany. Ostatnio złapał seryjnego mordercę i to w pojedynkę, nieuchwytnego dla wszystkich służb przez prawie piętnaście lat. Może i postępowanie pana Mareya jest trochę ekscentryczne, ale gdybym miał powierzyć swoje życie w jego ręce, byłbym o nie zupełnie spokojny.

Gdy prezydent uważnie słuchał słów gubernatora, ponownie rozdzwonił się telefon Mareya.

– Coś ty, Jim, taki nerwowy, pogadajmy chwilę, bo gra jest warta świeczki – powiedział już mniej pewny siebie Juarez.

– Pedro, nie ty to ktoś inny to kupi, więc nie mam czasu na popychanie bezproduktywnie pierdół przez telefon.

– Wiesz Jim, wszystko byłoby dobrze, tylko moi ludzie, którzy będą produkować tę szczepionkę, mówią, że wszystko w tej recepturze jest tak jak należy. I co ty na to Jim?

– Okej, Pedro, ale zanim ją komukolwiek sprzedasz, to znajdź sobie głęboką szuczurzą norę i siedź w niej do końca życia, ale i tak sobie myślę, że cię tam wytropią.

– Okej, Jim, porozmawiajmy spokojnie. Powiedz mi, jaki w tym jest haczyk.

– Haczyk?! – zaśmiał się Jim. – To jest raczej twój hak, na którym, jak cię dorwą, to za jaja żywcem powieszają!

– Moi ludzie mówią co innego – powiedział już podniesionym głosem Juarez.

– Jeżeli otoczyłeś się kretykami typu Rodriguez, to będą ci zawsze mówić to, co chcesz usłyszeć, a jak mi nie wierzysz, to daj do słuchawki tego swojego Sokratesa i zobaczysz, jak szybko zmieni zdanie.

– Ale on nie mówi po angielsku.

– No to tłumacz, Pedro, co ty dziecko jesteś? – grzmiał Jim do słuchawki na zdeorientowanego Juareza.

– Poczekaj Jim, za chwilę do ciebie zadzwonię.

Prezydent z uznaniem pokiwał głową.

– Rzeczywiście, potrafi pan z takimi łotrzykami rozmawiać. Minutę później ponownie rozdzwonił się telefon Mareya.

– Jestem – rzucił znudzonym głosem Jim.

– Mów, o co chodzi, a ja będę tłumaczył.

– Zapytaj tego swojego dupka, co się zadzieje w wątrobie przy takiej dawce sterydów, konkretnie zapytaj o reakcję zwrotną.

– Tylko tyle?

– Aż tyle Pedro.

– Okej, poczekaj przy słuchawce.

Po burzliwej dyskusji w nieznanym dla Mareya języku ponownie odezwał się Juarez.

– Okej Jim, mów, ile za te papiery chcesz, i zaraz dobijamy targu.

– Co, ten twój Sokrates zmienił zdanie?

– Jim, proponuję dwadzieścia milionów dolarów, czy taka suma cię satysfakcjonuje?

– Ile? – zaśmiał się Jim.

– Dobrze, trzydzieści – podniósł sumę Juarez.

– Ty chyba kompletnie zwariowałaś! – odparł Marey.

– Niech będzie pięćdziesiąt. Stoi? – zapytał niepewnie Juarez.

– Pedro, czy ty już do reszty na głowę upadłeś?

– To mów, Jim, ile chcesz i robimy wymianę.

– 50 tysięcy dolarów co dwa lata, pierwsze pieniądze od razu, a resztę co dwa lata będziesz przysyłał mi swoim kurierem. – W słuchawce nagle zapanowała cisza. – Jesteś tam?

– zapytał Marey.

– Jestem, ale, Jim, to jest podstęp. Chcesz mnie dopaść i wsadzić do San Quentin.

– Widzę, że tobie się, Pedro, w tej głowie już całkiem pomieszało.

– To powiedz mi, Jim, dlaczego tak tanio?

Marey roześmiał się.

– A ty widziałeś kiedyś w swoim życiu gliniarza na emeryturze, który ma odłożone dziesiątki milionów dolarów? Widziałeś? – powtórzył bardzo przekonująco.

– Brzmi sensownie, ale dlaczego nie sto tysięcy?

– Pedro, zaczynam wierzyć w to, że przeceniałem twoją inteligencję.

– Odpowiedz, Jim – nalegał Juarez.

– Bo gdyby wyszło coś na jaw, to nawet ten bezmózg Rodriguez uwierzyłby w to, że przez tyle lat w policji mogłem sobie odłożyć te 50 tysięcy dolarów, a z wyższej sumy już bym się nie wywinął. Teraz już rozumiesz?!

– Rozumiem Jim, ale skąd wiesz, że cię później nie oszukam?

– Pedro, razem się wychowaliśmy. Wprawdzie ludzie się zmieniają, ale nie aż tak, żeby za taką przysługę połasić się na jakąś dla ciebie drobną sumę. A poza tym, chociaż tego nigdy głośno nie przyznasz, to w głębi ducha do końca swoich dni będziesz mi wdzięczny, że ocaliłem ci tyłek.

– Okej, ale wymiana musi odbyć się na terytorium Meksyku – stanowczo oznajmił Juarez.

– To absolutnie odpada – rzucił krótko Jim.

– Dlaczego?

– To bardzo proste. Nie byłem do końca przekonany, czy wejdiesz ze mną w spółkę i tak jak ci już wcześniej mówiłem, papiery są w moim sejfie, ale otworzyć może go tylko fachowiec i to nie byle jaki.

– To niech otworzy ten, który tę pułapkę zakładał – spokojnie, ale bardzo stanowczo powiedział Juarez.

– I tu jest problem.

– Jaki?

– Facet od wczoraj rana zimny przebywa w kostnicy.

- Chyba coś kręcisz Jim!
- Jeżeli tak uważasz, Pedro, to złożę tę propozycję twojemu przyjacielowi z Hongkongu, na pewno się ucieszy. Jak myślisz?
- W słuchawce zapanowało ponowne milczenie.
- Jesteś jeszcze tam? – zapytał drwiącym głosem Marey.
- Jestem! Wiesz, Jim, co się stanie, jak zobaczę chociaż jednego gliniarza?
- Wiem! – odparł spokojnie Marey.
- Zgoda, ale musisz mi powiedzieć chociaż, jaka to kasa.
- Pedro, ja całe życie byłem policjantem, a nie kasierzem. Taka zwykła za dwa tysiące dolarów, wmurowana kotwami w ścianę, z wierzchu srebrna.
- A jakiej produkcji? – dopytywał Pedro.
- Nasza, amerykańska.
- Dobrze, oczekuj mojej wizyty – rzucił trochę podirytowany Juarez.
- Nie pytam, kiedy będziesz, bo na pewno zajrzysz, ale gdybyś mnie nie zastał w domu, to mogłem wyjść najwyżej tylko na róg ulicy do sklepu po piwo – oznajmił sucho Marey.
- No to do zobaczenia – powiedział wrogim, nieufnym głosem Juarez i rozłączył się.
- I co pan najlepszego zrobił, a papiery ze szczepionkami? Przecież ten eliksir w nieodpowiednich rękach, to coś gorszego niż wszystkie bomby atomowe całego świata! – oburzył się mocno prezydent.
- Jim lekkim uśmiechem dał do zrozumienia głowie państwa, że panuje nad sytuacją i spokojnie powiedział:
- Teraz, panie prezydencie piłka jest po pana stronie.
- Nie rozumiem?

– Szef CIA już namierzył, skąd dzwonił Juarez i tam są właśnie papiery. Ale one są tylko elementem większej całości.

– Proszę jaśniej, panie Marey – ponagłał go prezydent.

Marey poprawił się na fotelu.

– Szanowny panie prezydencie, zakładając nawet, że odzyskamy papiery, to nie mamy żadnej pewności, że Juarez ich nie skopiował i przyzna mi pan chyba rację, że wówczas cała akcja psu na budę.

– Do rzeczy, panie Marey.

– Tak więc trzeba nie tylko odzyskać papiery i ich ewentualne kopie, wyrwać hydrze głowę, czyli posłać do San Quentin Pedro Juareza wraz z jego świtą, ale też, a może przede wszystkim, z jego najgroźniejszymi najemnikami.

– A co da im pan wezwanie na pana dawny komisariat policji, żeby się sami zgłosili?! – ironizował szef CIA. Wszyscy mężczyźni oprócz prezydenta parsknęli śmiechem.

– Dobrze pan myśli, właśnie już dostali takie wezwanie ode mnie – odparł szefowi CIA, nie zrażając się szyderczym śmiechem, Marey.

– Panie prezydencie, Juarez będzie tutaj dokładnie za dwa dni, jednak wcześniej nasze miasto nawiedzi całe jego zbrojne ramię, aby dokładnie zrobić rozpoznanie terenu. Kiedy uznają, że to nie jest pułapka, pojawi się sam Juarez i z paroma ludźmi wejdzie do mnie do domu. Oczywiście cała moja dzielnica będzie dokładnie obstawiona przez ludzi Pedra. I wówczas wkroczy jednostka specjalna ze swoimi najnowszymi zabawkami.

– Jakimi zabawkami? – dopytywał prezydent.

Marey spokojnie wyjaśnił:

– Prawie od roku mają na wyposażeniu karabiny snajperskie najnowszej generacji na lotki ze środkiem paraliżującym

o zasięgu ośmiuset metrów. Kiedy jednostka specjalna będzie zdejmować obstawę Juareza, ja u siebie w domu jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, bez jednego strzału zakuję w kajdanki wszystkich moich gości.

– Jak? – zapytał zdziwiony prezydent.

– Bardzo prosto, szef jednostki specjalnej jeszcze dzisiaj założy ładunki z gazem usypiającym w moim mieszkaniu, a przycisk detonujący ładunki umieści za muszlą klozetową w ubikacji, zaś maskę przeciwgazową, włoży do schowka pod wanną.

– To może się udać – oznajmił szef jednostek specjalnych.

– No dobrze, ale dalej nie wiem, co z papierami? – dopytał pełen uznania dla Mareya prezydent.

– Papiery odzyska sam szef jednostki specjalnej.

– Panie Marey, przecież tam w Kolumbii, gdzie są papiery, to jest prawdziwa twierdza z doborową obstawą!

– Zgadza się, panie prezydencie, tylko że Juarez tę najlepszą obstawę weźmie ze sobą tu do miasta, a tam zostaną zwykle rzezimieszki, które po paru strzałach same się poddadzą.

– Dlaczego?!

– Bo Juarez bardziej ceni sobie własne życie niż jakieś tam nawet najbardziej dochodowe szczepionki.

– Jest pan tego pewien?!

– Wychowałem się z nim i we wszystkim mogę się pomylić, ale nie w tym, że Pedro przyjechałby tutaj jak baranek na rzeź, bez swoich najlepszych asów.

Szef jednostek specjalnych zareagował nerwowo:

– Panie prezydencie, złapanie Juareza bez strat w ludziach tutaj na miejscu zapewne się powiedzie, ale jeżeli chodzi

o twierdzę tego narkotykowego barona w Kolumbii, na pewno się nie uda.

– Dlaczego? – zapytał podirytowany tymi słowami prezydent.

– Dwa lata temu wraz z CIA próbowaliśmy inwigilować ten rejon i ponieśliśmy tylko straty. To jest skalista góra porośnięta drzewami i chaszczami, strzeżona dzień i noc przez około pięciuset po zęby uzbrojonych w najnowszą broń ludzi. Mają nawet nasze rakiety ziemia–powietrze.

Marey zaśmiał się cynicznie na słowa szefa komandosów.

– A czy pan myśli, że proponowałbym panu taką wycieczkę, gdybym nie wiedział jak opanować tę twierdzę bez strat w najwyższej dziesięć minut?!

– A wie pan jak? – bez entuzjazmu spytał mężczyzna.

– Wiem. Dostanie pan ode mnie za chwilę dokładną mapę, gdzie macie wylądować i jak poprzez jaskinię od południowej strony zakrytą wodospadem wejść niepostrzeżenie do środka. I jeżeli użyje pan zamiast kul, lotek paraliżujących, ale przede wszystkim głowy, to załaduje pan do helikopterów wszystkie komputery i całe laboratorium Juareza wraz z papierami.

Mężczyzna zaśmiał się drwiąco.

– A skąd taki zwykły glina może mieć taką mapę?!

– Kupiłem ją wczoraj w kiosku z gazetami – obcesowo odpowiedział mu Jim.

– Musi pan na to pytanie odpowiedzieć Marey – zdecydował prezydent.

Jim założył nogę na nogę, podrapał się palcem po policzku i bardzo niechętnie zaczął:

– Trzy miesiące temu zatrzymałem zupełnie przypadkiem do kontroli samochód, jechało w nim dwóch braci, drobnych handlarzy narkotykowych mafii portorykańskiej. Z chłopaka-

mi wzięliśmy ich na komisariat i okazało się, że jeden z nich przez lata był w obstawie tej właśnie twierdzy. Zagrałem wówczas tak: Wypuściłem jednego z nich, aby jechał do Juareza po pieniądze na kaucję i przywiózł mi dokładną mapę twierdzy wraz z jej zdjęciami.

– I pewnie powie nam pan teraz, że ma ją przy sobie i zaraz nam pokaże?! – zadrwił z Jima szef komandosów.

Marey zaklaskał w dłonie.

– Brawo. Widocznie chwilami pan naprawdę myśli.

– Panowie proszę o zachowanie powagi – skarcił ich prezydent.

Jim wstał i wyjął ze swojej czarnej, mocno nadwyrężonej walizeczki czerwoną tekturową teczkę i podał ją mężczyźnie, który przed chwilą z niego szydził. Ten zerwał się z fotela i podszedł do dużego owalnego stołu stojącego w rogu gabinetu. Dołączyli inni szefowie służb i z podanej teczki nerwowo zaczęli wyjmować zdjęcia oraz dużą szczegółową ręcznie narysowaną mapę.

– Patrz, to jest to – powiedział z głupim wyrazem twarzy szef komandosów do szefa CIA. Drugi mężczyzna kiwnął tylko głową i wszyscy z uznaniem spojrzeli na Jima.

– Mówcie panowie! – ponaglił prezydent.

Szef CIA stracił nagle cały rezon.

– Mapa i zdjęcia są prawdziwe – stwierdził.

– Czyli mam rozumieć, że akcja się powiedzie?

– Tak, panie prezydencie – cicho, z widocznym wstydem oznajmił przełożony jednostek specjalnych.

Prezydent ostro spojrział na Jima.

– Pana obowiązkiem było przekazać tę mapę i wszystkie wiadomości, jakie pan posiada przynajmniej lokalnemu sze-

fowi FBI, jak mi pan teraz wyjaśni swoją niesubordynację, a może nawet złamanie prawa, Marey? – oskarżycielsko zapytał prezydent.

– Z całym szacunkiem, panie prezydencie, ale rok temu zdechł mi pies labrador i nawet on, kiedy nieraz przychodził do mnie Bery, wychodził do kuchni, bo nie chciał słuchać jego genialnych pomysłów. Więc gdybym podzielił się tą wiadomością z nim, to wraz z innymi służbami wysłałby tam na pewną śmierć mnóstwo naszych ludzi. To jest moje wytłumaczenie.

Prezydent surowo spojrział na szefa FBI.

– Pan chyba wie, co należy zrobić z agentem Berym?

– Oczywiście, panie prezydencie.

– Pan będzie dowodził tą akcją – zwrócił się do szefa CIA prezydent. – Dostaliście panowie wszystko od pana Mareya jak na tacy i nie wyobrażam sobie, aby coś poszło nie tak. Czy jasno się wyraziłem? – zagrzmiął donośnie prezydent.

– Tak jest – odpowiedzieli wszyscy jak na komendę i wraz z Mareyem opuścili gabinet. Szybkim krokiem prawie zbiegli do zaparkowanych przed gmachem samochodów i udali się wprost do miejscowego budynku służb specjalnych. Siedząc już na tylnym siedzeniu, Jim i szef jednostek specjalnych spojrzeli na siebie i na znak zgody podali sobie dłonie.
